

MOJA MISJA W KAMBODŻY. CZĘŚĆ 2¹

Ponieważ kompletowanie II zmiany przebiegało z trudnościami, to jeszcze kilka dni przed planowanymi wylotami poszczególnych rzutów z lotniska w Balicach kierownictwo Oddziału Misji Pokojowych prawie codziennie informowało dowódcę II zmiany o tych oficerach, chorążych i podoficerach zawodowych I zmiany, którzy uzyskali zgodę na przedłużenie służby w Kambodży. Dotyczyło to żołnierzy pełniących kluczowe funkcje (głównie w Centralnej Składnicy Zaopatrzenia i w Zgrupowaniu Pododdziałów Inżynieryjnych), których nie zdołano obsadzić w czasie rekrutacji w kraju. Moja zmiana przywoziła dla nich komplet umundurowania. Na miejscu jednak okazało się, że mundury te rozmiarami nie pasują do wzrostu adresatów tej szczególnej przesyłki. Dodać trzeba, że dowództwo i sztab batalionu nie miały możliwości spowodowania ujednolicenia umundurowania w polskim kontyngencie. W rezultacie część żołnierzy pozostałych z I zmiany nadal wykorzystywała swoje stare mundury typu moro. Jak na ironię, wielu z nich wcześniej wysyłało do Rzecznika Praw Obywatelskich alarmistyczne skargi na jakość tego typu umundurowania. Ci sami teraz z uporem maniaka starali się nosić właśnie mundury typu moro. Swoją niekonsekwencję w tym względzie tłumaczyli głównie tym, że mundury nowego wzoru, a w takie właśnie wyposażono II zmianę, nie były, ich zdaniem, tak efektowne jak używane dotychczas mundury typu moro.



Uroczysta zbiórka z okazji Dnia Wojska Polskiego. Stan osobowy sztabu batalionu i 1 kompanii logistycznej w umundurowaniu nowego wzoru

¹ Część 1 zob. „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2015, nr 3, s. 160-182.

Najciekawsze podróże służbowe – choć niosły one ze sobą ryzyko natknięcia się na grupy żołnierzy z oddziałów Czerwonych Khmerów – były jednocześnie najdalszymi. Ich celem było bowiem odwiedzenie najdalej od Phnom Penh położonych terenowych polskich pododdziałów logistycznych. Do takich należy zaliczyć podróże do odległego o 320 km od stolicy miasta Siem Reap i leżącego znacznie bliżej Kampong Thom. W pobliżu obydwu tych miast stacjonowały polskie kompanie zabezpieczenia logistycznego. Drogi krajowe prowadzące do tych miejscowości były w znacznie gorszym stanie technicznym niż droga z Phnom Penh do Sihanoukville.

Tylko niewielkie odcinki dróg do tych dwóch polskich pododdziałów miały nawierzchnię asfaltową. W większości nawierzchnię tych dróg tworzyła warstwa gliniastego miejscowego szutru, zwanego laterytem. Był to w istocie żwir z domieszką gliniastych minerałów o brunatno-czerwonej barwie. W porze deszczowej nawierzchnia ta stawała się tak śliska, że bezpieczny przejazd po niej wymagał od kierowców szczególnych umiejętności. Niewielka tylko chwila dekoncentracji kierowcy mogła sprawić, że samochód nagle zsuwał się do rowu. Dla odmiany zaś w trakcie suszy, poruszające się pojazdy powodowały powstawanie ciągnących się za nimi gęstych chmur brunatno-czerwonego kurzu, który wciskał się dosłownie w każdą szczelinę auta, trafiał do ust, nosa kierowcy, a nawet pod mundury. Po to, by zachować choćby minimalną widoczność, kierowcy musieli zwiększać odstęp między pojazdami w kolumnach, co notabene stanowiło złamanie obowiązujących zasad bezpieczeństwa. W nieszczęsnych kabinach polskich ciężarówek po prostu nie było czym oddychać.

Na obydwu tych drogach większość mostów była zniszczona jeszcze przez lotnictwo amerykańskie podczas wojny w Wietnamie – do czasu naszego przybycia do Kambodży nie zostały one odbudowane. Przypomnę, że amerykańskie siły powietrzne systematycznie bombardowały oddziały Vietkongu, które, jak twierdził amerykański wywiad wojskowy, znajdowały się również na terytorium Laosu i Kambodży.

Większość doraźnie odbudowanych na tych drogach mostów miała konstrukcję drewnianą. Trzeba było mieć niezwykle umiejętności, aby załadowanym samochodem ciężarowym przejechać nad przeszkodą wodną po ułożonych, i tylko punktowo przymocowanych, podwójnych dłuźcach lub po kłocach leżących luzem na zmurszałych drewnianych przecznicach. Zazwyczaj dłuźce były tak rozmieszczone na tych prowizorycznych mostkach, że tylko z trudem mieściły się na nich koła przejeżdżającego samochodu.

Poważną przeszkodą na drodze do Kampong Cham była rzeka Mekong. Jadąc do stacjonującej w tym mieście kompanii mjr. Zbigniewa Michalskiego, musiałem każdorazowo przeprawiać się prymitywnym promem przez tę największą w Kambodży rzekę. Na przeprawie przez Mekong do Kampong Cham kursowały stare i zawsze

przeładowane promy. Za każdym razem, kiedy zdarzyło mi się pokonywać tę przeprawę, z duszą na ramieniu, stojąc na promie przy swoim samochodzie, oczekiwałem na jej szczęśliwe zakończenie. Z ulgą też witałem każdorazowe dobicie promu do przeciwległego brzegu. Nie chciałbym bowiem znaleźć się w wodzie Mekongu; stojąc na promie, obserwowałem dość leniwie przemieszczający się nurt mętnej wody koloru białej kawy. Widziałem też jak wraz z nurtem przemieszczają się odwrócone do góry brzuchem śnięte ryby, zdechłe zwierzęta, a niekiedy nawet ludzkie ciała.

Pomiędzy tymi pływającymi nieczystościami śmigały wąskie, zanurzone prawie po krawędzie burty łódki, którymi tubylcy przewozili różne towary. Oczywiście, można było skorzystać z tzw. ekspresów promowych. Były to łodzie motorowe, przystosowane do przewożenia jednego lub dwóch samochodów osobowych. Za odpowiednią opłatą, najczęściej równowartości 10 dolarów, można było być przetransportowanym na drugi brzeg w ciągu kilku minut. Ja sam jednak nigdy podczas swoich podróży nie zaryzykowałem takiej eskapady. Pokład takiego ekspresowego promu, na który ładowano jedno lub dwa auta, tworzyły dwa bale o szerokości przeciętnej opony samochodowej. Samochody były prowizorycznie mocowane łańcuchami. Wydawało mi się, że wystarczyłaby tylko większa fala lub uderzenie bocznego wiatru, a przewożony takim promem samochód mógł po prostu wpaść do wody. Zresztą przewoźnicy wykonywali tymi łodziami takie szalone zwroty, że aż mi czasami ciarki przechodziły po plecach.



Na przystani promowej na rzece Mekong w drodze do kompanii mjr. Zbigniewa Michalskiego

W czasie podróży do zgrupowania pododdziałów inżynierskich stacjonujących w m. Pursat i do 4 kompanii logistycznej w Siem Reap, gdzie dowódcą w II zmianie był mjr Wiesław Słoniewski, często wstępowałem nad jezioro Tonle

Sap, aby tam oglądać wioski rybackie usytuowane na łodziach zakotwiczonych w pobliżu brzegów. Tworzyły one ciekawą i dla mnie niezwykłą architekturę pływającej wioski na łodziach rybackich. Łodzie-domy były tak zakotwiczone, że tworzyły specjalnie wytyczone uliczki, którymi mieszkańcy mogli dopływać łódkami do swoich domków, zbudowanych również na łodziach. Oprócz domków mieszkalnych były tam wszelkiego rodzaju obiekty usługowe, tj. sklepiki, warsztaty kowalskie, zakłady fryzjerskie, krawieckie itp.

Jezioro Tonle Sap jest dla Kambodży naturalnym rezerwuarem wodnym. Podczas pory deszczowej, kiedy poziom wody w Mekongu gwałtownie się podnosi, następuje wypychanie z niego nadmiaru wody przez rzekę Tonle Sap do jeziora o tej samej nazwie. W ten sposób poziom wody w tym naturalnym zbiorniku podnosi się nieraz prawie o kilka metrów, a powierzchnia jeziora powiększa się, jak twierdzili miejscowi mieszkańcy, nawet trzykrotnie. Wtedy wioski rybackie zbudowane na łodziach, w miarę jak poziom wody w jeziorze się podnosi, są przeciągane z dotychczasowych kotwicowisk w nowe miejsca, w pobliżu nowych brzegów.



Widok na rejon dyslokacji 4 kompanii logistycznej mjr. Wiesława Słoniewskiego w Siem Reap

W porze suchej woda zgromadzona w jeziorze Tonle Sap spływa z powrotem do rzeki Mekong, ale po drodze jest rozprowadzana różnymi, specjalnie wybudowanymi kanałami irygacyjnymi na pobliskie pola ryżowe, w ten sposób je nawadniając. Dzięki temu miejscowi rolnicy, posiadający poletka w pobliżu rzeki, mogą trzy razy w ciągu roku zbierać plony ryżu, podstawowej tutaj rośliny uprawnej.

Podpułkownik Krzysztof Chrzanowski, dowódca zgrupowania saperów, które stacjonowało w koszarach w pobliżu Pursat, opowiadał, że w tych wioskach na wodzie działały restauracje, różnego rodzaju kafejki, a nawet domy publiczne. Niestety, ja tego już nie sprawdzałem, pozostało mi zatem wierzyć mu na słowo.

Oczywiście, warsztaty rzemieślnicze oglądałem, widziałem również małe sklepiki, ale tak specyficznych przybytków, o których mi opowiadali saperzy, nie dostrzegłem. Inną ciekawostką, którą zaobserwowałem podczas zwiedzania jednej z takich rybackich wiosek, było istnienie tam, i sprawne funkcjonowanie, specjalnej służby, która nadzorowała porządek w komunikacji pomiędzy domami zbudowanymi na łodziach.

W Siem Reap jedną z głównych atrakcji turystycznych są ruiny dawnej świątyni Khmerów Ankor Vatt. Miałem to szczęście, że dzięki misji pokojowej w Kambodży mogłem obejrzeć te słynne na cały świat ruiny, świadczące o bardzo wysokiej kulturze dawnego narodu khmerskiego. Ruiny są świetnie zachowane. Budowle te były wzniesione w XII w. n.e. Niektóre obiekty są już poprzeraśnięte lianami i ogromnymi drzewami. Z wielu murów wyrastają grube i dziwacznie powykęcane korzenie różnych gatunków drzew. Jednak większość pałacu jest w tak dobrym stanie, że udostępniono ją zwiedzającym. Ogromne wrażenie robią również wykonane w kamieniu rzeźby o motywach smoka.

Większość tych budowli jest tak dobrze zachowana, że posłużyły one za scenerię jednego z kręconych tutaj odcinków słynnego filmu o Jamesie Bondzie. Ze wspaniałością dawnych budowli kontrastowały widoki współczesne. Na moście prowadzącym nad fosą do zabytkowej świątyni spotykałem co chwilę nagich miejscowych chłopców i dziewczynki ubrane w długie, brudne sukienki. Ludzie ci siedzieli na tych wspaniałych rzeźbach i z wyciągniętymi do przechodniów rękami prosili o datki. Dzieciom zazwyczaj dawaliśmy konserwy i cukierki. Zastanawiałem się wtedy, jak to się dzieje, że w tak bogatym kraju jak Kambodża – oprócz wielu bogactw naturalnych ma ona także bardzo żyzne ziemie uprawne, z których można, przy dobrej organizacji pracy, nawet 3 razy w roku zbierać obfite plony ryżu – możliwe są takie, świadczące o ludzkiej nędzy scenki. A ponadto zamieszkiwali w tym kraju również zdolni ludzie, którzy niegdyś potrafili wybudować tak wspaniałe budowle, jak świątynia Angkor Wat. Współcześni szaleńcy pod przywództwem Pol Pota doprowadzili zaś ten bogaty kraj do tak wielkiej ruiny i biedy.

Dzięki wizytom Rzecznika Praw Obywatelskich, ekipy polskich dziennikarzy telewizyjnych, a także stosownego wniosku naszego ambasadora z Phnom Penh w kwietniu 1993 r. polskie MSZ uznało rejon misji pokojowej w Kambodży za strefę wojenną. Dzięki temu wszyscy polscy członkowie misji pokojowej UNTAC otrzymali do pobieranego z ONZ uposażenia dodatek wojenny w wysokości 3 dolarów za każdy dzień służby.

Cztery miesiące przed zakończeniem naszej służby w misji UNTAC, 25 lipca 1993 r., polski batalion odwiedziła delegacja naszego MSZ z wiceministrem Andrzejem Ananiczem na czele. Szef delegacji interesował się zadaniami kontyngentu w Kambodży, wypytywał też o warunki bytowe kadry, żołnierzy służby

zasadniczej i pracowników cywilnych wojska. Ponadto wygłosił obszerną, przyjętą przez kadrę zawodową z wielkim zainteresowaniem, informację o zachodzącej w Polsce transformacji ustrojowej. Jak wiadomo, w tym czasie w kraju następowały istotne zmiany, a jedną z nich była redukcja liczebności wojska.



Na moście nad fosą do ruin dawnej świątyni Khmerów w Siem Reap



... i w jednej z khmerskich wiosek w trakcie podróży do kolejnej polskiej kompanii

Służbę w Kambodży w ramach misji pokojowej UNTAC pełniłem do 4 listopada 1993 r. W dniu tym z lotniska w Phnom Penh odleciałem w składzie przedostatniego, ale tym razem największego rzutu personelu naszego kontyngentu, na amerykańskie wojskowe lotnisko położone w pobliżu Bangkoku w Tajlandii.



Autor w towarzystwie dowódcy batalionu logistycznego ppłk. Azeema

Sprzęt transportowy, maszyny inżynieryjne i mienie wojskowe – wszystko to co stanowiło wyposażeniu polskiego batalionu w Kambodży zostało w tym czasie zgrupowane na terenie 1 kompanii wsparcia logistycznego. Po sprawdzeniu stanu technicznego sprzętu, przez sekcję techniczną sztabu batalionu, mienie batalionu zostało przewiezione do portu w Sihanoukville. Tam, po załadowaniu na wyczarterowany przez ONZ statek nasz sprzęt i wyposażenie pod ochroną naszej, specjalnie wyznaczonej do tego celu drużyny po tygodniu oczekiwania w porcie na zgodę na opuszczenie wód terytorialnych Kambodży, wreszcie wypłynął w drogę powrotną do kraju. Do Gdańska sprzęt batalionu dotarł w styczniu 1994 r.

Rzut osobowy wrócił do kraju drogą powietrzną. Jak już wspomniałem, z lotniska w Phnom Penh zostaliśmy przewiezieni na lotnisko wojskowe w pobliżu Bangkoku w Tajlandii. Tam, po 2 dniach oczekiwania (czas ten spędziliśmy w jednym z luksusowych hoteli niewielkiego kurortu w pobliżu lotniska wojskowego niedaleko Bangkoku) na przylot specjalnie wyczarterowanego przez ONZ samolotu 240 moich żołnierzy wreszcie zostało załadowanych na pokład samolotu Boeing 767 i wraz z grupą 100 żołnierzy niemieckiego kontyngentu wojskowego wyruszyliśmy w podróż powrotną do kraju. Sądziłem, a wynikało to

z uzgodnień w Kwaterze Głównej UNTAC w Phnom Penh, że podróż tę odbędziemy do Warszawy bez międzylądowania. Okazało się jednak, że przewoźnik zaplanował międzylądowanie w Abu Dhabi (Abu Zabi), stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Po kilku godzinach lotu znaleźliśmy się nad Półwyspem Arabskim. Gdy samolot zaczął stopniowo zniżać lot, przez iluminator dostrzegłem, że podchodzimy do lądowania na niewielkim, wybudowanym na pustyni pasie startowym, przy którym, po jego prawej stronie, widoczne były tylko 2 niewielkie drewniane baraki. Początkowo sądziłem, że to chyba jakaś pomyłka, ale pilot podniósł maszynę w górę, zrobił drugi krąg i znów rozpoczął zniżanie. Samolot zszedł tak nisko, że słychać było, jak poderwane z ziemi drobinki piasku uderzają o kadłub. Tymczasem pilot, tym razem z ogromnym trudem (słychać było skrzypienie części wiązań w poszyciu przeciążonej maszyny) poderwał znów samolot i szczęśliwie wyprowadził go na bezpieczną wysokość. Gdy wszystko to obserwowałem przez okienko iluminatora, w ułamku sekundy przesunął mi się film z całego mojego dotychczasowego życia. Pomyślałem, że właśnie nadszedł kres mojej życiowej wędrówki.

Minęło 30 minut lotu od tej tajemniczej próby podejścia do lądowania na pustyni, kiedy wreszcie przyziemiliśmy na lotnisku w Abu Dhabi. Co ciekawe, żaden z pasażerów nie komentował tego dziwnego zdarzenia. Podejrzewałem, że wszyscy w tym czasie spali, a piloci musieli chyba dokonywać jakiegoś nielegalnego zrzutu przesyłki na tym niewielkim pustynnym lądowisku. Zapewne dlatego dwukrotnie zeszli tak nisko nad ten niewielki pas startowy. Prawdopodobnie zrzut ten był dla nich niezwykle ważny. W przeciwnym razie chyba nie zdecydowaliby się narażać życia 340 żołnierzy, nie licząc członków załogi.

Na Okęciu w Warszawie wylądowaliśmy dopiero za drugim podejściem, wieczorem 6 listopada 1993 r., ok. godz. 22.00. Po złożeniu meldunku przełożonym i odbyciu wstępnej odprawy celnej zostaliśmy przewiezieni do Centrum Szkolenia w Kielcach. Tam też po kilku dniach, zgodnie z obowiązującymi procedurami, nastąpiło rozwiązanie II zmiany.

PRÓBA PODSUMOWANIA

Rozmieszczenie polskich pododdziałów w misji pokojowej UNTAC

Polski Kontyngent Wojskowy w misji pokojowej w Kambodży funkcjonował w specyficznych warunkach. Poszczególne pododdziały polskiego etatowego batalionu logistyczno-inżynierskiego były po wprowadzeniu do rejonu misji natychmiast wyłączone ze składu polskiego batalionu i zostały podporządkowane komórkom organizacyjnym Kwatery Głównej UNTAC, a następnie rozmieszczone w 7 z 9 sektorów wydzielonych na obszarze Kambodży. Wszystko

to spowodowało poważne trudności w sprawnym dowodzeniu polskim kontyngentem. Dowódcy pododdziałów terenowych zostali w tej złożonej sytuacji zobligowani do przejścia całkowitej odpowiedzialności za realizację zadań otrzymywanych od przełożonych z komórek organizacyjnych UNTAC. Ponadto dowódcy ci zostali obciążeni odpowiedzialnością za zorganizowanie bezpośredniej ochrony obiektów w rejonach dyslokacji, mimo że w etacie podległych im pododdziałów nie przewidziano ani odpowiednich do tego zadania sił, ani też środków.

Zgodnie z formułą przyjętą w Kwaterze Głównej UNTAC, rozwinięte w poszczególnych sektorach oddziały operacyjne z zasady nie otrzymały zadania ochrony pododdziałów logistycznych batalionu UNTAC. Było to o tyle dziwne, że przecież pododdziały te stacjonowały w sektorach odpowiedzialności tychże oddziałów operacyjnych, a ponadto – o paradoksie! – zaopatrywały je w niezbędne środki materiałowo-techniczne. Bataliony operacyjne były tylko zobligowane do wydzielania – na wniosek dowódców pododdziałów logistycznych – niezbędnych sił do ochrony konwojów z zaopatrzeniem.

Omawiając zadania wykonywane przez polskie pododdziały logistyczne, powinienem wyjaśnić, że polscy żołnierze uczestniczący w misji pokojowej UNTAC nie wykonywali zadań bojowych. Ponieważ nie były pododdziałami wojsk operacyjnych, a zatem ich podstawowym zadaniem było zaopatrywanie rozmieszczonych w sektorach ich odpowiedzialności operacyjnych batalionów bojowych, pododdziałów inżynieryjno-saperskich i szpitali polowych w środki materiałowe: paliwo, wodę pitną, żywność, sprzęt kwaterunkowy, materiały biurowe itp. Taki właśnie, „nieoperacyjny” status polskich żołnierzy skłonił dowództwo I zmiany do podjęcia decyzji, że nasi żołnierze będą wykonywać swoje zadania misyjne bez broni osobistej.



Rejon dyslokacji pododdziału w Kampong Thom

Z tą kwestią łączy się wart przytoczenia anegdotyczny epizod dotyczący I zmiany naszego kontyngentu. Otóż, do jednego z naszych pododdziałów logistycznych przybył pewien włoski dziennikarz polskiego pochodzenia,

reprezentujący popularny dziennik „Corriere della Sera”. Dziennikarz ów, zapewne poszukując sensacyjnego materiału reporterskiego z misji UNTAC, zdołał namówić jednego z naszych dowódców do odegrania swoistej maskarady. Wzięło w niej udział kilku kompletnie umundurowanych i wyposażonych żołnierzy, którzy brodząc po szyję w bagnie, z twarzami umorusanymi błotem, udawali, że wykonują misyjne zadania w Kambodży. Oczywiście, kolorowe zdjęcia z tej pozorowanej akcji ukazały się w tym poczytnym, znanym w świecie dzienniku. Na jednym z nich widać, jak utyłani w błocie polscy żołnierze w hełmach, z karabinkami kbk AK unoszonymi nad głowami, pokonują błotnistą przeszkodę wodną, brodząc między szerokimi liśćmi i pięknie rozkwitającymi kwiatami lotosu. Pod zdjęciem widniał podpis informujący, że zdjęcie przedstawia bohaterów polskich żołnierzy, wykonujących codzienne zadania bojowe w misji pokojowej UNTAC w Kambodży.

Ten sam dziennikarz przybył do Kambodży ponownie, już podczas dowodzonej przeze mnie II zmiany. Razem z płk. Krzysztofem Mamczurem, starszym oficerem narodowym, przeprowadziliśmy z nim rozmowę, podczas której wyjaśniliśmy mu, na czym polegają zadania polskich żołnierzy w misji pokojowej UNTAC. Przy okazji nawiązaliśmy do „wiarygodności” już opublikowanych przez niego zdjęć i informacji. Zwróciliśmy uwagę, że wprowadzają one czytelników w błąd co do rzeczywistych zadań wykonywanych przez polskich żołnierzy w Kambodży, i stanowczo poprosiliśmy go o zaprzestanie takiej propagandy. Uprzedziliśmy też dowódców, aby pod żadnym pozorem nie improwizowali jakichkolwiek wymyślonych scenek „bojowych” na potrzeby dziennikarzy przebywających w polskich pododdziałach.

Jak już wspomniałem, podczas I zmiany etatowy dowódca polskiego batalionu logistyczno-inżynieryjnego nie miał prawie wpływu na zakres i treść zadań wykonywanych przez podległe mu pododdziały. Po prostu nie był o nich informowany. Problem ten pogłębiał brak systemu łączności dowodzenia w batalionie, a także brak etatowych środków transportowych w dowództwie i sztabie polskiego batalionu. W rezultacie sztab polskiego batalionu był komórką mało elastyczną, a oficerowie komórek sztabowych nie mogli być przez dowódcę i szefa sztabu efektywnie wykorzystywani do nadzorowania pododdziałów terenowych, ale też do doradzania i pomocy ich dowódcom.

Sytuacja kadrowa

Ogółem w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Kambodży pełniło służbę 1237 żołnierzy i pracowników cywilnych wojska. W tej liczbie było 170 oficerów, 240 chorążych, 217 podoficerów zawodowych, 34 pracowników cywilnych i 576 żołnierzy służby zasadniczej. W trakcie trwania misji zostało odwołanych dyscyplinarnie 18 żołnierzy i pracowników cywilnych wojska. W I zmianie odesłano

do kraju chorążego, 6 podoficerów zawodowych i 4 żołnierzy służby zasadniczej. Podczas II, „mojej”, zmiany od stycznia 1993 r. dyscyplinarnie odwołałem i odeślałem do kraju oficera, podoficera zawodowego, 2 żołnierzy służby zasadniczej i 3 pracowników cywilnych wojska.

W Polskim Kontyngencie Wojskowym w Kambodży ogółem odnotowano 5 wypadków śmiertelnych, z których 2 zdarzyły się w II zmianie.

Obsadę II zmiany, podobnie jak I, nie tworzyły wtedy zwarte jednostki logistyczne i pododdziały inżynieryjno-saperskie, jak jest to stosowane obecnie przy formowaniu kolejnych kontyngentów zagranicznych misji wojskowych. Obsadę etatową batalionu formowano, opierając się na ochotniczej rekrutacji kadry i żołnierzy służby zasadniczej. Stanowiska etatowe w sztabie batalionu i podległych pododdziałach II zmiany były obsadzone żołnierzami oddelegowanymi z różnych jednostek wojskowych ŚOW. Był to po prostu przypadkowy zlepek żołnierzy, którzy dotychczas nigdy ze sobą nie współpracowali. Wielu żołnierzy, których skierowano do formowanej w Centrum Szkolenia Misji Pokojowych w Kielcach II zmiany, nie odpowiadało specjalnościom wojskowym określonym w zapotrzebowaniu przesłanym do sztabu ŚOW. Spowodowało to poważne trudności w sprawnym kompletowaniu stanu osobowego batalionu; w dniu wylotu skompletowanie to wyniosło tylko 94%. Dosłownie w ostatniej chwili przełożeni zdecydowali się na przeprowadzenie w ośrodku kieleckim doraźnej uzupełniającej rekrutacji cywilnych ochotników specjalistów, głównie na stanowiska tłumaczy, lekarzy i operatorów maszyn drogowych.

Kadra pełniąca służbę na stanowiskach dowódczych na ogół dobrze wykonywała zadania służbowe. Poważnym mankamentem była słaba znajomość języka angielskiego wśród oficerów. W związku z tym w II zmianie w każdej kompanii, a także w sztabie batalionu, wprowadzono dodatkowe stanowisko tłumacza. W tej roli doskonale sprawdzili się oficerowie powołani z rezerwy, a szczególnie weterani służby w misjach pokojowych. Wiele zaś kłopotów natury organizacyjnej i dyscyplinarnej sprawiali cywilni tłumacze kontraktowi zatrudnieni na umowy o pracę. Ponieważ ich znajomość terminologii wojskowej była niedostateczna, mogli być oni w miarę efektywnie wykorzystywani dopiero pod koniec misji. Ponadto niejasny był ich status. Mimo że cywilni pracownicy kontraktowi wojska występowali w rejonie misji w mundurach żołnierzy Wojska Polskiego i korzystali ze wszystkich uprawnień z tego wynikających, domagali się dodatkowych przywilejów wynikających z karty pracy pracowników cywilnych. Pod koniec misji pracownicy ci próbowali nawet – bezskutecznie – zorganizować niezależne związki zawodowe.

Wiele trudności w porozumiewaniu się ze swoimi odpowiednikami z innych kontyngentów mieli polscy kierowcy, głównie żołnierze służby zasadniczej. Problem ten stawał się bardzo poważny zwłaszcza wtedy, kiedy zaistniała kolizja na drodze. Nieznajomość języka angielskiego powodowała, że kierowcy nie potrafili

przekazać patrolowi MP sporządzającemu dokumentację powypadkową pełnej informacji o okolicznościach zaistniałej kolizji. Nie reagowali też na miejscu zdarzenia na dokonywane zapisy w protokołach powypadkowych, w których zazwyczaj to właśnie oni byli obciążani odpowiedzialnością za spowodowanie wypadku. Co gorsza, najczęściej pod treścią niekorzystnie dla nich sporządzanych przez funkcjonariuszy MP protokołów powypadkowych składali swoje podpisy. Skutkiem były niekorzystne dla naszego kontyngentu orzeczenia komisji powypadkowej.

Z obserwacji zachowań naszych żołnierzy wynikało, że czas rozłąki z rodziną w misji pełnionej w klimacie tropikalnym nie powinien być dłuższy niż 6 miesięcy. Po tym okresie żołnierze powinni podlegać obowiązkowej rotacji, a na kolejną mogliby być typowani – oczywiście po uzyskaniu pozytywnych opinii specjalnych z poprzednich misji – nie wcześniej niż po kolejnych 6 miesiącach przebywania w gronie rodzinnym (pełnienia służby) w klimacie umiarkowanym.

Trudne warunki życia i pracy w klimacie tropikalnym oraz długa rozłąka z rodzinami – wszystko to powoduje narastanie sytuacji stresowych prowadzących często do załamań psychicznych nie tylko wśród żołnierzy służby zasadniczej, ale i kadry zawodowej. Dlatego w komisjach rekrutujących kandydatów do misji pokojowych działających w klimacie tropikalnym powinni, moim zdaniem, uczestniczyć lekarze ze specjalnością psychologa. Kadra dowódcza mojego batalionu nie miała na ogół większego doświadczenia w rozwiązywaniu problemów psychologicznych żołnierzy wyczerpanych psychicznie. Już po 5 miesiącach służby w warunkach klimatu tropikalnego dochodziło do powstawania pierwszych konfliktów pomiędzy żołnierzami, którzy kwaterowali wspólnie w niewielkich pomieszczeniach, nawet klimatyzowanych. Zjawisko to pojawiało się zarówno wśród żołnierzy starszych wiekiem, jak i u dwudziestolatków, u mężczyzn fizycznie dobrze zbudowanych, jak i wątłej budowy.

Łączność

Zgodnie z wytycznymi Sekretariatu ONZ, każdy kraj kierujący kontyngent wojskowy w rejon misji był odpowiedzialny za wyposażenie go w sprzęt łączności niezbędny do zapewnienia dowodzenia elementami ugrupowania wydzielonej jednostki, a także do łączności z krajem. Za łączność pomiędzy elementami ugrupowania rozwiniętymi już w ramach struktur organizacyjnych UNTAC w rejonie misji odpowiadał australijski kontyngent wojskowy.

System łączności pomiędzy sztabem Kwatery Głównej UNTAC a węzłami łączności (WŁ) sztabów sektorów został zorganizowany w I zmianie do grudnia 1992 r. Łączy pomiędzy WŁ sektorów a batalionami operacyjnymi w tych sektorach były dopiero zestawione w styczniu 1993 r. W tym czasie uzyskały m.in. bezpośrednie łącza również i pododdziały logistyczne z batalionu

logistycznego UNTAC. Dla przykładu, kompania logistyczna mjr. Andrzeja Mazura, stacjonująca w Phnom Penh, „została podłączona” do systemu łączności telefonicznej UNTAC dopiero 1 lutego 1993 r. Do tego czasu łączność z pododdziałami terenowymi była utrzymywana tylko przy wykorzystaniu kurierskiej poczty polowej.



Rzecznik praw obywatelskich prof. Tadeusz Zieliński z wizytą w 1 kompanii logistycznej mjr. Andrzeja Mazura w Phnom Penh. Na drugim planie: mgr Bronisław Zoń i szef sztabu batalionu mjr Marek Kłoczewski

W wyniku listopadowej kontroli działalności I zmiany szef Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych gen. bryg. Tadeusz Cepak zdecydował, że I zmiana zabierze ze sobą 10 radiostacji R-130, a sztab batalionu logistyczno-inżynierskiego przy ich użyciu zorganizuje oddzielną sieć dowodzenia, umożliwiającą łączność z pododdziałami logistycznymi, a także z dowództwem zgrupowania pododdziałów inżynierskich. W I zmianie łączności takiej nie było.

Sieć dowodzenia w batalionie została uruchomiona w marcu 1993 r. i dopiero wtedy sztab polskiego batalionu uzyskał możliwość stałego i bezpośredniego pozyskiwania informacji o stanie bezpieczeństwa w poszczególnych pododdziałach

oraz o aktualnie realizowanych zadaniach misyjnych. Utworzona sieć radiowa była szczególnie przydatna w czasie odpierania ataków grup Czerwonych Khmerów na nasze pododdziały terenowe stacjonujące w Siem Reap i Kampong Thom. Tuż przed atakami bojówki Czerwonych Khmerów zazwyczaj uszkadzały linie łączności przewodowej UNTAC. Wówczas łączność z broniącymi się pododdziałami zapewniała jedynie nasza sieć radiowa. Szkoda, że – odmiennie od innych kontyngentów wojskowych – Polski Kontyngent Wojskowy nie był wyposażony w sprzęt łączności satelitarnej, który umożliwiałby kontakt z rodzinami w kraju. Zbadanie możliwości zorganizowania takiej łączności było m.in. przedmiotem wizyty w naszym kontyngencie w marcu 1993 r. rzecznika praw obywatelskich prof. Tadeusza Zielińskiego.

Dwie etatowe radiostacje R-140, rozwinięte w rejonie dyslokacji 1 kompanii logistycznej, z powodzeniem zapewniały ciągłość łączności dowodzenia z krajem. Pozostałe 3 radiostacje R-140 nie mogły jednak zapewnić takiej łączności z rodzinami w kraju. Głównym powodem była 7-godzinna różnica czasu pomiędzy rejonem misji a krajem, a także związane z tym częste zakłócenia w propagacji fal. W tych warunkach nie mogliśmy zapewnić raz w miesiącu każdemu członkowi PKW obiecanych 5-minutowych seansów radiowych z rodzinami w kraju. Takie seanse można było zapewnić jedynie żołnierzom i pracownikom cywilnym pododdziałów stacjonujących w rejonie Phnom Penh.

Pozostali żołnierze z pododdziałów terenowych mogli skorzystać z tej usługi tylko wtedy, gdy służbowo przebywali w rejonie Phnom Penh. Sytuacja ta powodowała niezadowolenie większości żołnierzy i pracowników cywilnych pododdziałów stacjonujących w terenie.

Ponieważ, jak już wspomniałem, węzeł łączności Kwatery Głównej UNTAC był obsługiwany przez kontyngent australijski, który zapewniał łączność satelitarną także z naszym krajem, uzyskaliśmy (II zmiana) – podobnie jak kontyngenty wojskowe innych krajów – możliwość odpłatnego prowadzenia indywidualnych rozmów z rodzinami w kraju. Jednak ze względu na stosunkowo wysoki koszt 1-minutowego połączenia z krajem, tylko nieliczni członkowie naszego kontyngentu korzystali z tej usługi.

Problemy zdrowotne

Główne siły i środki etatowej służby zdrowia naszego kontyngentu były w zasadzie rozmieszczone na terenie 1 kompanii logistycznej w Phnom Penh. Starszy lekarz kontyngentu miał tu rozwinięte ambulatorium, laboratorium parazytologiczne i 3-lózkową izbę chorych. W obiektach koszarowych zgrupowania pododdziałów inżynierskich znajdowały się: ambulatorium, gabinet stomatologiczny i 2-lózkowa izba chorych. W każdej z terenowych kompanii logistycznych był etatowy sanitariusz, a personel tych pododdziałów mógł korzystać z polowych szpitali rozwiniętych w poszczególnych sektorach.

W I zmianie żołnierze skarżyli się głównie na robaczywą układową pokarmową. Na wniosek starszego lekarza II zmiana przywiozła z kraju sprzęt do laboratorium parazytologicznego. Laboratorium to zostało rozwinięte przy ambulatorium, w rejonie 1 kompanii logistycznej w Phnom Penh. Badaniami objęto 100% obsady etatowej batalionu. Badania wykonywano cyklicznie z takim wyliczeniem, by każdy żołnierz i pracownik cywilny raz na 3 miesiące miał możliwość przeprowadzenia badania na obecność pasożytów w układzie pokarmowym. Pierwsze badanie potwierdziło obecność pasożytów u prawie 50% pacjentów PKW. Wszyscy ci, którzy uzyskali wyniki dodatnie, byli leczeni ambulatoryjnie. Pod koniec misji już tylko u nielicznych członków naszego kontyngentu stwierdzano obecność pasożytów.

Po przebazowaniu w kwietniu 1993 r. zgrupowania inżynieryjno-saperskiego z Pursat do Kratie i rozmieszczeniu pododdziałów w przydzielonych obiektach koszarowych w pobliżu rzeki Mekong w okresie deszczowym zwiększyła się liczba zachorowań saperów na malarię. W ocenie starszego lekarza kontyngentu, tylko 15% hospitalizowanych w hinduskim szpitalu polowym polskich żołnierzy było faktycznie zarażonych malarią. Pozostali, z blisko 100 przyjętych w tym czasie do tego szpitala, mieli jednak wyniki dodatnie. Powołana wówczas na wniosek starszego oficera narodowego w Kwaterze Głównej specjalna komisja zdecydowała, że cały personel zgrupowania pododdziałów inżynieryjnych w Kratie zostanie 16 sierpnia 1993 r. specjalnym samolotem odesłany do kraju.

W misji w Kambodży funkcjonowała sieć 4 szpitali polowych. Szpitale hinduskie były rozwinięte w miejscowościach: Battambang, Stung Treng i Siem Reap, a główny szpital (niemiecki) funkcjonował w budynku khmerskiego uniwersytetu w Phnom Penh. Ponadto w dyspozycji szefa służby zdrowia Kwatery Głównej UNTAC pozostawał specjalistyczny szpital amerykańskich sił powietrznych w Bangkoku. Pomoc w tym szpitalu uzyskało 7 polskich żołnierzy zawodowych.

Wyposażenie w sprzęt

Ogólnie rzecz biorąc, wyposażenie batalionu logistyczno-inżynieryjnego formowanego na potrzeby misji w Kambodży było swoistym kompromisem pomiędzy stosownymi wytycznymi Sekretariatu ONZ a już wcześniej przygotowanym sprzętem i wyposażeniem do misji w Saharze. Sprzęt ten był już wydzielony i oczekiwał w kraju na decyzję o uruchomieniu tej misji.

Twórcy etatu, niestety nie przewidzieli tak potrzebnych w dowództwie i sztabie polskiego batalionu pojazdów osobowo-terenowych. Wpłynęło to niekorzystnie na efektywność pracy zarówno dowództwa, jak i oficerów sztabu batalionu. Zaraz po przybyciu w rejon misji pododdziały batalionu zostały rozmieszczone na całym terytorium Kambodży, podczas gdy nie był jeszcze rozwinięty system łączności UNTAC z pododdziałami terenowymi. Łączność tę zapewniano wówczas środkami kurierskimi.

W kambodżańskich warunkach terenowych, gdzie większość dróg była w opłakanym stanie technicznym, zdały egzamin polskie samochody ciężarowe Star 266 i Star 660. Jediną ich wadą było to, że nie miały klimatyzacji. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że miały za to... podgrzewacze oleju w miskach olejowych.

Większość polskich maszyn inżynieryjnych, a szczególnie walce drogowe, spycharki i równiarki, nie była przystosowana do pracy w warunkach tropikalnych. Kabiny operatorów, podobnie jak szoferki polskich starów, nie były klimatyzowane. W tych okolicznościach operatorzy maszyn drogowych mogli pracować nie dłużej niż 15–20 minut. W klimacie tropikalnym nie sprawdzały się też układy chłodzenia maszyn drogowych, skutkiem czego maszyny te mogły pracować bez przerwy nie dłużej niż 1,5 godziny; po tym czasie musiały być wyłączone na 2–3 godziny dla ochłodzenia.

Nie zdały też egzaminu polskie agregaty prądotwórcze typu PAD oraz chłodnie zainstalowane na podwoziu stara. Ich autonomiczne układy chłodzenia okazały się tak mało wydajne, że po 2–3 godzinach pracy agregaty przestawały działać, a wysoka wilgotność powietrza była powodem zapychania się zaworów w urządzeniach chłodniczych. Z tej przyczyny polski sprzęt chłodniczy prawie wcale nie był wykorzystywany, a jego miejsce zajął pozyskany z magazynów UNTAC odpowiedni sprzęt produkcji japońskiej.

Przygotowanie batalionu pod względem kwatermistrzowskim

Batalion, zgodnie z wytycznymi FOD w Nowym Jorku, został wyposażony w namioty pałatki, namioty wojskowe typu 6, 12 i 24. Jednak w warunkach tutejszego klimatu tropikalnego już po 6 miesiącach eksploatacji namiotów polskiej produkcji, w porze deszczowej nastąpiło wypłukanie środków impregnujących z materiałów tworzących powłokę namiotów i prawie przestały one spełniać swoją funkcję ochronną. Podpinki namiotów pod wpływem dużej wilgotności powietrza pleśniały, a następnie gniły. Pod koniec misji wszystkie polskie namioty zostały wybrakowane i zniszczone.

Po 6 miesiącach kwaterowania polskich pododdziałów w namiotach i lokalnych budynkach przystosowanych do zamieszkania, począwszy od stycznia 1993 r. pododdziały były stopniowo wyposażane i przekwaterowywane do nowych obiektów typu *porto-camp* produkcji australijskiej. W obiektach tych były kompletne kuchnie gazowe, pralnie z automatami pralniczymi i suszarniami, łazienki i ubikacje oraz klimatyzowane pomieszczenia mieszkalne. Każdy *porto-camp* był wyposażony w agregaty zasilające dużej mocy.

Jedynie zgrupowanie pododdziałów inżynieryjnych do końca kwietnia 1993 r. było zakwaterowane w wyremontowanym i rozbudowanym własnymi siłami obiekcie koszarowym po byłej armii kambodżańskiej. Od stycznia część kadry z tego zgrupowania została również zakwaterowana w *porto-camp* na terenie

miasta Pursat. Po przeniesieniu do Kartie od maja całą kadrę tego zgrupowania zakwaterowano w kompletnym obiekcie domków prefabrykowanych. Stołówkę i sale żołnierskie urządzono w 24-osobowych norweskich namiotach wyposażonych w urządzenia wentylacyjne.

Największą bolączką personelu polskiego kontyngentu było umundurowanie. Problemu tego zresztą nie udało się rozwiązać do końca misji. Brak doświadczenia służby mundurowej Wojska Polskiego w określeniu norm wyposażenia żołnierzy pełniących służbę w warunkach tropikalnych powodował, że każda zmiana przylatująca do Kambodży przywoziła z kraju inne zestawy umundurowania. W efekcie nigdy nie można było ujednolicić umundurowania w polskim kontyngencie. Kurtki polowe miały podszewkę, a długie spodnie wszytą podkolanówkę.

Jakość polskiego umundurowania była przedmiotem skarg wielu żołnierzy kierowanych do Rzecznika Praw Obywatelskich. Reagując na nie, służba mundurowa próbowała rozwiązać ten problem. Mundury bawełniane koloru khaki otrzymała II zmiana. W zestawach znalazły się krótkie spodnie i bawełniane podkoszulki, do których jednak nie można było przypiąć naramienników z oznaczeniem stopni wojskowych. Po kilku praniach nowe mundury straciły pierwotny kolor, a materiał z niewyjaśnionych przyczyn zaczął się supełkować, a ponadto był podatny na wchłanianie kurzu. Nadal też nie był rozwiązany problem obuwia.

Prawdopodobnie w wyniku interwencji rzecznika praw obywatelskich prof. Zielińskiego w czerwcu specjalnym samolotem dotarły do nas przeznaczone do testowania w warunkach tropikalnych mundury z cienkiego materiału o barwach maskujących.

Nieprzydatne w tamtejszym klimacie okazały się także pidżamy i ocieplane dresy szeregowca. Nie zdały egzaminu namioty pałatki i obuwie, w które początkowo wyposażano personel kontyngentu. W czerwcu 1993 r. służba mundurowa WP przysłała nam do testowania 100 par obuwia nowego wzoru. Było ono stosunkowo lekkie, wykonane z cienkiej, przewiewnej skóry bez futrówki. W mojej opinii, obuwie to zdało egzamin, chociaż nie mogliśmy przetestować go w warunkach typowej pory deszczowej, jako że kambodżańska aura okazała się dla naszej zmiany łaskawa, nie zsyłając na nas właściwych dla tego klimatu strug tropikalnego deszczu. Sami tubylcy zresztą twierdzili, że w Kambodży pory deszczowej prawie nie było; opady były niezwykle małe.

Zakończenie

Służba w Kambodży była moją pierwszą misją oenzetowską, toteż z zainteresowaniem obserwowałem praktyczne aspekty jej funkcjonowania. To właśnie tam, w Kambodży zauważyłem jak biurokratyczna jest to organizacja i jak na tych, tzw. pokojowych misjach potrafią robić lukratywne interesy środowiska biznesowe związane z organizatorami tychże misji.

W UNTAC politycznie odpowiedzialnym za organizację i przeprowadzenie wyborów w Kambodży był znany japoński polityk Akkashi. Nie trzeba było być wnikliwym analitykiem, aby dostrzec, że cały misyjny transport kołowy został przejęty przez japońskie firmy samochodowe. One też miały monopol na dostawy do UNTAC tysięcy pojazdów transportowych zarówno osobowych, jak i terenowych oraz ciężarowych. Japończycy byli odpowiedzialni za ich serwisowanie i organizowali specjalistyczne warsztaty naprawcze sprzętu eksploatowanego we wszystkich komórkach organizacyjnych misji.

Cały system zaopatrzenia materiałowego w rejonie misji był zaś opanowany przez australijskie firmy logistyczne. Zaopatrywały one wszystkie kontyngenty w żywność, paliwo, środki materiałowe, a także w sprzęt kwaterunkowy, w tym zestawy *porto-campów*. Zapewne nie bez związku z tym będzie informacja, że głównodowodzącym kontyngentami wojskowymi ONZ był australijski gen. por. John Sanderson.



Kadra kierownicza służb logistycznych w misji pokojowej UNTAC. W pierwszym rzędzie od lewej: mjr Tariq, mjr Briere, ppłk Azeem, ppłk Mamczur, ppłk Harding, ppłk Azarewicz, ppłk Zawiliński, mjr Azhar

Misja pokojowa w Kambodży, mimo że w trakcie jej planowania i formowania popełniono wiele błędów, o których zresztą wspominałem wcześniej, była w tym czasie jednym z największych tego rodzaju przedsięwzięć. Wzięło w niej udział 1237 żołnierzy i pracowników cywilnych Wojska Polskiego. W tych skrajnie trudnych warunkach klimatycznych, mimo niefunkcjonalnej organizacji polskiego batalionu logistyczno-inżynieryjnego, z satysfakcją można stwierdzić, że

zarówno w I, jak i w II zmianie wszystkie zadania postawione nam przez Kwaterę Główną UNTAC wykonaliśmy na ocenę bardzo dobrą. O takiej zresztą ocenie rząd polski został poinformowany w oficjalnym dokumencie ONZ.

W misji użyto łącznie 6834 jednostek różnego sprzętu, począwszy od kwaterunkowego, przez transportowy, a skończywszy na specjalistycznych maszynach drogowych. Według danych zawartych w księdze *In/out survey*, tylko za 277 samochodów różnego typu, używanych przez polski kontyngent w Kambodży, ONZ miała wypłacić Polsce prawie 7,5 mln dolarów. Przy czym suma ta nie obejmuje ekwiwalentu za zużycie pozostałego sprzętu eksploatowanego przez nasz kontyngent, a także uposażeń polskiego personelu misji. Zużycie pozostałego sprzętu wykorzystywanego podczas misji zostało wycenione na 37%.

Wśród naszych rodaków w kraju pokutowało, a może i pokutuje do dziś, dość powszechne przekonanie, że polscy „misjonarze” zarabiają ogromne pieniądze. Warto więc podać trochę faktów. Otóż, każdy żołnierz ochotnik, który zdecydował się pojechać na oenzetowską misję pokojową, zgodnie z polskimi przepisami finansowymi otrzymywał swoje dotychczasowe miesięczne uposażenie w złotych polskich, opodatkowane na ogólnych zasadach. Za każdy miesiąc służby w misji, w zależności od zajmowanego stanowiska i posiadanego stopnia wojskowego, żołnierze polscy otrzymywali od 650 (szeregowcy) do 1250 dolarów (oficerowie). Od kwietnia 1993 r. za każdy dzień służby w misji pokojowej wszyscy członkowie polskiego kontyngentu, niezależnie od stopnia wojskowego i stanowiska, otrzymywali 3-dolarowy tzw. dodatek wojenny. Uposażenie, które żołnierze otrzymywali w dolarach, nie podlegało opodatkowaniu w kraju. W telewizyjnym reportażu Marka Olko i Wojciecha Worotyńskiego (TVP) podano, że według oficjalnych informacji opublikowanych przez ONZ, za każdego członka misji pokojowej polskie władze otrzymywały 1065 dolarów. Jak widać, nie są to kokosy.

Podczas pobytu na misji miałem możliwość zwiedzenia muzeum martyrologii narodu kambodżańskiego z okresu rządów reżimu Pol Pota. Muzeum, które znajduje się w stolicy, robi na każdym zwiedzającym ogromne i przynębiające wrażenie. Zgromadzone tam setki tysięcy czaszek ludzi zamordowanych przez oprawców reżimu Czerwonych Khmerów, a także fotografie obrazujące tortury, którym byli poddawani przed śmiercią, skłoniły mnie do smutnych przemyśleń na temat nieszczęść grożących całym narodom po załamaniu się w państwie demokratycznego systemu sprawowania władzy. Najnowsza historia dostarcza zresztą takich przykładów wiele, także w Europie. Tym większą mam więc satysfakcję, że swym udziałem w pokojowej misji ONZ w Kambodży w jakimś stopniu, podobnie jak moi towarzysze służby w Polskim Kontyngencie Wojskowym, przyczyniłem się do zapoczątkowania uwieńczonego sukcesem procesu demokratyzacji tego kraju.

Kazimierz Zawiliński